

Nr. 24. Poznań, dnia 14 Czerwca 1879. Rok II.

TEODORO,

król borów.

Powieść Korsykańska

przez

Zygmunta Krasińskiego.

.... he lived a wanderer and a fugitive in his native land, and went dorn, like a lonely bark foundering amid darkness and tempest, without a pitying eye to weep his fall, orfa friendly hand to record his struggle.

Washington Irving. — The Sketch book.

Korsyka jest wyspą najeżoną skałami i gęstemi krzewinami zarosłą; ciasne wąwozy i kręte jary przecinając wszystkie jéj części, służą za schronienie licznym rozbójnikom. Nie trzeba sądzić jednakże, aby rozbójnicy korsykańscy łupież lub kradzież mieli jedynie na celu, zawsze prawie chęć zemsty staje się przyczyną ich zbrodni; rzadko gwałtem na wieśniakach wymuszają pieniądze lub żywność, mieszkańcy dobrowolnie im dostarczają potrzebnych rzeczy uważając to za winną należytość. Zemsta jest ogólną cechą charakteru Korsykanów: często z najlepszych przyjaciół stają się śmiertelnymi wrogami za jedno słowo, za żart niewinny. Kiedy jeden z nich przysięgnie zemstę komu, wtenczas oświadcza swojéj przyszłéj ofierze, że jest z nią *in vinditta* i że od téj chwili zabije ją, gdziekolwiek spotka. To słowo *vinditta* wyraża nienawiść dwóch ludzi poróżnionych i zemstę przez obu upragnioną; lecz jeśli Korsykanin jaki będący w nagłém niebezpieczeństwie schroni się do chaty tego, z którym jest *in vinditta*, znajdzie u niego i pomoc i największe poświęcenie; nieprzyjaciel czyhający przed chwilą na jego życie dłoń mu ściśnie i na śmierć się narazi, żeby go obronić; lecz, skoro niebezpieczeństwo oddalone, wraca nienawiść i zemsta wre z nową siłą. Widziano przykłady ludzi żywionych przez trzy miesiące w chacie swoich nieprzyjaciół podczas niebezpieczeństwa, a potem o kilka kroków od téj chaty, przez tychże nieprzyjaciół zabijanych. Za przejściem progu mieszkania znowu *vinditta* się rozpoczyna. Dziwny ten zwyczaj, który każe wrogowi często poświęcać życie za wroga, dowodzi, do jakiego stopnia zemsta wznieść się może i wygórować w dzikich umysłach. Bronią oni do ostatniego tchnienia ludzi, z którymi są *in vinditta*, aby nikt inny nie wydarł im rozkoszy ich zabicia; uważają tych ludzi za swoję własność od chwili, w któréj się poróżnili, za ofiarę, któréj krew i jęki do nich należą. Walczą więc o prawo zamordowania ich, jakby walczyli o ziemię lub skarby swoje. Widziano raz dwóch Korsykanów będących *in vinditta*, wziętych do pułków francuzkich — tam przez dwadzieścia lat ścisłą związani przyjaźnią sypiali w jedném łożu, jedli u jednego stołu, dzielili wszystkie niebezpieczeństwa i zabawy, smutki i radości i przypominając sobie ojczyste skały, razem do nich wzdychali — po upłynieniu lat służby, jeszcze razem siadając na statek, razem płynęli do rodzinnéj wyspy i z równém uniesieniem witali zponad łona mórz szare jéj góry w oddali; chwilę przed wylądowaniem jeszcze ich dłonie się ściskały i rozumiały się ich serca, lecz skoro dotknęli stopami ziemi, na któréj wieczną zaprzysięgli nienawiść, odskoczyli od siebie i okropnym zawołali głosem: „Jesteś *in vinditta*, gdziekolwiek cię spotkam, przywitam cię ołowiem kuli lub żelazem sztyletu“ — i w kilka dni potem pośród skał leżał trup jednego z nich śmiertelnym ciosem przeszyty.

Kiedy stałem z pułkiem moim w Bastyi w 1827 r (mówił mi pan C...... oficer francuzki) szeroko słynął w okolicy rozbójnik *Teodoro*, królem borów przezwany, i w rzeczy saméj godny był nabytéj sławy nadzwyczajną siłą, dziwną zręcznością i nieustraszoną odwagą, któréj prawie codzienne dawał dowody. Dziwaczne było często jego postępowanie i uważano, że ścigał wszędzie żandarmów francuzkich, na żołnierzy innych oddziałów nigdy nie napadając. Następne o nim opowiadano szczegóły

Urodził się i wychował w małéj wiosce między górami, młodość całą przepędził u rodziców pomagając im w pracach i nikt w słodkim jego wzroku i miękkich rysach nie mógł wyczytać burzliwych namiętności i przyszłych zbrodni. Mier-

nego był wzrostu, ale olbrzymiéj siły i wielkiéj zręczności, osobliwie w strzelaniu. W dwudziestym roku pokochał dziewczynę, mieszkającą w pobliżu rodzinnéj chaty i odtąd jéj oko stało się gwiazdą jego przeznaczenia; całe dnie przepędzał w niemém przypatrywaniu się jéj wdziękom, a całe noce w dumaniu przy bladém świetle księżyca, obwianego mgłą właściwą głębokim parowom Korsyki. Zdarzyło się w tym samym czasie, że oddział francuzkich żandarmów dostał rozkaz zajęcia kwaterą wsi rodzinnéj młodego Teodora; dotąd wszystkie jego uczucia zwrócone ku pięknéj istocie zachowały kształt młodzieńczéj lękliwości, i z drżącém sercem, z rumieńcem na twarzy zbliżał się do ulubionéj, lecz kiedy ujrzał ją codzień otoczoną gronem wojskowych i rozdającą wszystkim jemu tylko należne spojrzenia, nagle się odmienił; z nieodłączną strzelbą na ramieniu i pistoletami u pasa przychodził do kochanki i ponurym wzrokiem patrzał na cudzoziemców, goszczących w jéj chacie. Dosyć długo trwało to nieprzyjemne dla niego położenie, nareszcie ze wszystkich żołnierzy, codziennie zalecających się do młodéj góralki, jeden się tylko został, ale ten łączył niewzruszoną wolę z silnemi namiętnościami. Milczał spotykając go Teodor a milcząc ściskał nóż szeroki lub kolbą strzelby uderzał o ziemię; nareszcie żandarm francuzki postanowił się go pozbyć na zawsze i do tego łatwy sposób wynalazł.

Każdy Korsykanin odbiera trzy wezwania do służenia w wojsku francuzkiém; jeśli za trzeciém nie stawia się do pułku sobie przeznaczonego, ulega karze więzienia. Właśnie już Teodoro odebrał dwa wezwania, trzecie przejęte przez żandarma nie doszło go. Niewinnie więc posądzony o nieposłuszeństwo musiał udać się w towarzystwie przysłanéj straży do miasta Bastyi i tam pomimo wszystkich prośb i oświadczeń, wejść pod ciemne sklepienia i wolne dotąd ręce kajdanami ociążyć. Podczas kilkotygodniowéj niewoli, srogiemi szarpany wspomnieniami, daleki od kochanki zostawionéj na łup nieprzyjaciela, pozbawiony błękitu niebios i widoku gór ojczystych, dumał przy ponurém świetle małéj lampy nad przyszłym losem; wszystkie namiętności dotąd uśpione w piersiach ozwały się na głos straconéj wolności i miłości zdradzonéj.

Nikt nie widział stopniowych postępów namiętności na jego licach, nikt nie słyszał powtarzanych przysięg śród wilgotnych ścian więzienia; lecz kiedy wypuszczono go na wolność, wszyscy dziwili się odmianie całéj postawy Teodora, twarzy i poruszeń. Drżącym głosem zapewniał pułkownika, że za cztery dni wróci, i zaciągnie się do wojska, i lotem strzały przebiegł odległość dzielącą Bastyę od wsi rodzinnéj. Z rozognioném okiem, z płomieniem na licach, z ściśniętemi pięściami, z pianą na ustach wleciał do chaty ojca i zapytał o imię tego, który wstrzymał trzecie wezwanie. Uradował się stary Korsykanin, widząc rękę syna skorą do zemsty, i wyrzekł nazwisko żandarma.

Przysięgam, że zginie on i towarzysze jego, krzyknął Teodoro. Tego dnia jeszcze nad wieczorem odebrał żandarm francuzki list następujący: „Psie przeklęty! Oświadczam tobie, że jesteś ze mną in vinditta, gdziekolwiek cię spotkam, zabiję!“ Roześmiał się żołnierz czytając te wyrazy i przy kochance zapomniał o groźbie Teodora. W godzinę wyszedł z chaty dziewczyny i poróżnił się z kilkoma towarzyszami broni, którzy włoskiém winem upojeni rzucili się na niego z dobytym orężem. Nie mogąc sprostać przemagającéj liczbie, żandarm ratował się ucieczką, ścigany szybko schronił się do pierwszéj chaty. Los zdarzył, że to było mieszkanie Teodora. Mściwy Korsykanin zbliżył się do przelękłego Francuza i rzekł z okropną powagą: — Należysz do mnie, nikt niema prawa cię dotknąć i dopóki jesteś w tém miejscu, pewnym bądź życia, lecz skoro próg mój przestąpisz, bądź pewnym śmierci. Po tych słowach przymknął drzwi domu i porwawszy wiszącą strzelbę otworzył okno i trzy razy wystrzelił i ranił trzech żołnierzy, chcących sobie przywłaszczyć należącą mu ofiarę. Kiedy oddalili się wszyscy i droga wolną została — teraz możesz wyjść, rzekł zimno Teodoro. Żandarm chciał mu podziękować, ale on z uśmiechem szyderstwa wskazał mu palcem otwarte podwoje i wkrótce potem wziąwszy pistolety i strzelbę udał się pomiędzy góry.

Nazajutrz rano jechał żandarm francuzki za rozkazem swego porucznika do Bastyi na silnym rumaku, a przejeżdżając ciasny wąwóz krzakami zarosły, skracał podróż miłosną piosenką — wtém świsnęła kula i nie dokończył zaczętéj zwrotki, a Teodoro wyszedłszy na otwartsze miejsce przypatrywał się z dzikim uśmiechem jego skonaniu, a potem zniknął między jarami.

Od tego czasu przez ciąg dwóch lat następnych często powtarzały się morderstwa wśród gór przyległych, lecz uważano, że zawsze na znalezionych ciałach błyszczał mundur żandarmów francuzkich, a wieść powszechna głosiła że ich zabójcą był mściwy Teodoro. I nareszcie do tego stopnia znikło bezpieczeństwo, iż żaden żandarm francuzki nigdy nie poważył się bez kilku towarzyszów ukazać się za murami Bastyi. Ale i ta ostróżność nie wiele pomogła. Teodoro nie lękał się przemagającéj liczby i często ginęli od kul jego, nie mogąc ani go chwytać, ani ścigać po skałach i przepaściach jemu tylko znajomych, po których z szybkością kozy leśnéj umykał przed pogonią nieprzyjaciół. Już odtąd nie wracał nigdy do rodzinnego domu Teodoro i od mieszkańców tych okolic zyskał przezwisko *króla borów*. Nie zdarzyło się jednak, aby choć raz czychał na życie innych żołnierzy oprócz żandarmów francuzkich — często nawet spotkawszy z innych pułków żołnierza, wchodził z nim w poufałą rozmowę.

Takim sposobem nigdy z oka nie spuszczając celu, któremu życie swoje poświęcił, w pośród tysiącznych niebezpieczeństw zawsze śmiały i odważny, pewną ręką i pewnem okiem zadawał zgubne ciosy swoim ofiarom. Nareszcie po wielu usiłowaniach daremnych schwytania go, kiedy już liczba zabitych ręką jego żandarmów siedmdziesięciu dwóch przechodziła, rząd francuzki ogłosił nagrodę piętnastu tysięcy franków i ozdobę krzyża legii honorowéj temu, ktoby głowę Teodora przyniósł. Przez kilka miesięcy jeszcze umiał swoją odwagą i przytomnością obrócić w niwecz wszelkie starania i śledztwa — lecz nie spodziewając się podstępu nie strzegł się zdrajcy, a już nadchodziła chwila, w któréj miał uledz zdradzie, nie uległszy nigdy ni sile, ni męztwu, ni przemagającéj nieprzyjaciół liczbie. Po śmierci ojca, daleki od wszelkich związków z społeczeństwem ludzkiém, zachował je z przyjacielem lat młodych Lorellim, który często widując się z nim w pośród borów, dostarczał mu kul, prochu i pożywienia.

Brygadyer żandarmów zachęcony obietnicą nagrody, zapoznał się bliżéj z Lorellim, a przyrzekając mu odstąpić ośm tysięcy franków, prosił aby zaprowadził go na miejsce schadzek swoich ze strasznym Teodorem. Opierał się z początku Korsykanin, ale złoto przemogło i dał słowo Francuzowi, że

ukaże mu króla borów, ostrzegł jednak aby wziął z sobą kilkunastu żołnierzy gotowych na wszystko i doświadczonéj odwagi.

W dzień pogodny miesiąca sierpnia, wyjechał ze wsi brygadyer na czele kilkunastu żandarmów i udał się w głąb górzystéj i zarosłéj okolicy. W największém milczeniu postępując starali się zawsze ukrywać w gęstwinie krzaków, bo wzrok mściwego Korsykanina równał się orlemu, a strzelba łatwo dosięgała serca nieprzyjaciół. Przez kilka godzin z wielkim trudem przebywali jary, to wstępując w ciemne parowy, to się wdzierając na wyniosłe góry. Przewodnik drżał za zbliżeniem się chwili, w któréj miał wydać przyjaciela, i śmiertelną bladością okryty, stąpał niepewnie słabemi krokami. Stanęli nareszcie przy lesie tak gęstym i trudnym do przebycia, że wypadło zostawić konie na brzegu i pieszo w dalszą puścić się drogę. Czasem nawet musieli się czołgać pod gałęziami schylonych i obok siebie rosnących drzew i krzewin. Nad wieczorem doszli do małéj łąki, a Lorelli rzekł tak cichym głosem jakby mu sił brakło w piersiach: — Teodoro od nas już tylko na strzał karabinowy. Rzucili się żołnierze na ziemię, ukryli głowy wśród zielonych krzewów i odwiedli kurki. Lorelli sam jeden przeszedł łąkę i o kilka kroków spotkał wśród lasu czekającego nań Teodora. Tymczasem obchodzili go do koła żandarmy, czołgając się z ostróżnością węża posuwającego się ku zdobyczy swojéj.

Teodoro rzucił badawcze spojrzenie na Lorella i czy to poznawszy w twarzy jego zdradę, czy też usłyszawszy szelest uginających się gałęzi pod piersiami żołnierzy, dobył z za pasa pistolet i wymierzając go do dawnego przyjaciela: — Zdradziłeś mnie, rzekł szyderskim głosem, i wystrzeliwszy odepchnął nogą trup zdrajcy.

W téj chwili świsnęły kule w około Teodora i jedna złamała mu kość pacierzową; upadł lecz oko jego nie straciło wyrazu zemsty i żadnego nie wydawszy jęku pochylił głowę ku ziemi i przymrużył powieki. Uradowani żołnierze wyskoczyli z ukrycia, Brygadyer pierwszy stanął przy ciele rozbójnika i kiedy z niejakiem zadowoleniem przypatrywał się rysom jego, on nieznacznie wyciągał drugi pistolet z zapasa, porwał się potem nagle, i niechybnym strzałem położył dowódzcę u nóg swoich. Ale osłabłe siły nie dozwalały mu już utrzymać się na nogach, doczołgał się przecież najbliższego drzewa i dobywszy pałasza długo się bronił srogie zadając rany żołnierzom. Dopiero wtedy oręż opuścił, kiedy zimnem śmierci skrzepła prawica nie zdołała już władać.

Taki był koniec człowieka, którego namiętności zbrodniarzem uczyniły. Trafnie możnaby zastósować do niego te słowa Washingtona Irwinga o jednym z wodzów Indyańskich:

„Żył, jak zbieg i wygnaniec na ojczystéj ziemi, podobny do statka, który sam jeden walczy przeciw ciemnościom i burzy, i nie znalazł litościwego oka, któreby zapłakało nad jego upadkiem, ani przyjacielskiéj ręki, któraby skrzepłe zawarła powieki.“

Słów Kilka w Sprawie Słowiańskiéj,

a mianowicie

o połączeniu Polaków, Czechów i Rusinów,

tudzież o potrzebie zwołania Wieca Słowiańskiego.

II. *Głosy polskie potępiające myśl jedności słowiańskiéj.*

Nie potrzeba dowodzić, że my Polacy jesteśmy obojętni dla naszych Braci Słowian. Nie zajmujemy się ich dziejami, językiem, literaturą — nie boli nas i nie cieszy to, co ich cieszy i boli. Dlatego też u nas są tylko możliwe podobne objawy, że poseł polski w radzie austryackiéj mógł potępić oswobodzenie Słowian w Bośni i Hercogowinie z pod srogiego jarzma tureckiego — niestety! znaczna część rodaków w Galicyi, nie pomnąc, że i my tłoczeni jesteśmy żelazném jarzmem niewoli, poparła owego posła. A przecież co nie chcesz, aby ci inni czynili, tego drugiemu nie czyń! Krzywo patrzyli Polacy, gdy w Zagrzebiu wyprawiono illuminacyą na znak radości, że los Słowian w Bośni nakoniec się polepszył.

Jest tedy faktem dokonanym, że my Polacy nie troszczymy się nic lub mało o Braci Słowian, że ich nie kochamy i że nie dążymy do ścisłego z nimi połączenia. Z faktami trzeba się liczyć. Otóż należy zbadać: zkąd ta dziwna a niewytłumaczona, a dla nas szkodliwa obojętność pochodzi? Gdzie jest skutek, musi być przyczyna. Wprawdzie większa część Polaków nie zdaje sobie sprawy z téj antysłowiańskiéj że tak powiem polityki i nic sobie o tem nie myśli, przecież pojedyńczy mężowie wypowiedzieli swe zdanie w téj sprawie. Tych głosów nie należy lekceważyć, choć się nie można na nie pisać. Trzeba i przeciwne zdanie uszanować, a nie z ironią lub szyderstwem, lecz z powagą i wyrozumieniem je rozważać.

Szafarzyk pisząc swe znakomite dzieło: „*Starożytności Słowiańskie,*“ szczęśliwym był, jeżeli szperając po kronikach, natrafił choć zaprzeczenie wiadomości, któréj szukał, bo wtedy już miał punkt oparcia. Tak i w poszukiwaniach przyczyn obojętności Polaków dla Słowiańszczyzny każda, by najostrzejsza krytyka tylko pożądaną być może — najgorsze grobowe milczenie. Każda myśl wielka zniesie i przetrwa wszelkie zaczepki, napaści, prześladowania, owszem jeszcze się przez to więcéj rozwielmoży, spotężnieje. Wiatry gwałtowne tylko pruchniejące drzewa wywracają — potężny cedr na Libanie śmiało im stawia czoło. Myśl tę prześlicznie wyraził piewca czeski Kollar:

„Pravda je co cedry na Libanu,
Ti kdiž duji na ni větrove,
Vic jen šiřeji vonnou jej mannou.“

To znaczy, że prawda jest jako cedry na Libanie, którym wiatry nietylko nic nie szkodzą, ale owszem rozszerzają ich mannę. Gałęzie cedru wydają jakiś rodzaj płynu, który tym więcéj się pomnaża, im większy wiatr.

Otóż podobnie się rzecz ma z głosami przeciw Słowiańszczyznie. Na dziś podajemy trzy wybitne takie głosy tj. rozprawę Sienkiewicza, wiersz Rajmunda Sumińskiego (zdaje się pseudonim): Duch Polski, Wiersz do Słowianistów i pełen powagi artykuł X. Koźmiana, zamieszczony w Przeglądzie Poznańskim, a później wydany osobno.

Głosy te podamy w zupełności, a nie w samowolném skróceniu, choć dziś powszechnie przyjęto, aby nie dopuścić przeciwnika do wypowiedzenia swych przekonań własnemi słowy. Nasamprzód umieszczamy głos Sienkiewicza, jako najdaléj sięgający i potępiający z kretesem wszystko, co tchnie myślą jedności słowiańskiéj.

SŁOWIAŃSCZYZNA

WYJĄTEK Z PISM

ś. p. KAROLA SIENKIEWICZA

W czasach nowych zaczęto wiele gadać i pisać o Słowiańszczyznie. Są nawet umysły Polskie rozpaczą imaginacii obłąkane, ruchu i kreacii łaknące, które w świecie illuzii, witają tę Słowiańszczyznę jak zbawicielkę, jak nowego Messiasza. Już nawet nowi magowie niosą jéj dary; literaci nową filozofią, i nową Religią, kadzidło i dym; złoto, niesie potężny cesarz; a z nieba, *Ursa Major*, drogę im wskazuje.

Przeczytajmy wszystkie kroniki Polskie od założenia państwa aż do dni naszych, przejdźmy Polskę w całej szerokości, od Morza Czarnego do Baltyckiego, nie wyczytamy w książkach, nie dopytamy się u ludu, ani tego wyrazu Słowiańszczyzna, ani śladu wyobrażenia, któreby tego nazwiska potrzebowało. Znajdziem tylko na początku Historii, że Polacy od Słowian pochodzą, wyczytamy że założyciel Polski zwał się *Rex Slavorum*, dowiemy się przedewszystkiem tego: że narody krwi Słowiańskiéj na zabój z sobą wojowały, że Polska padła pod przemocą Słowiańskiéj Rossii.

Gdy tedy w Historii nie znajdziemy ani państwa ani siły, ani wyobrażenia któreby Słowiańszczyzną zwać się mogło, szukajmy tego w domysłach. Domysł może nastręczać; 1) albo połączenie ludów krwi Słowiańskiej w jedno państwo, — 2) albo związek i wzajemną sobie pomoc tych ludów, — 3) albo nakoniec potęgę moralną z wnętrza tych ludów wydobytą.

Co do 1° Zjednoczenie materialne ludów Słowiańskich staćby się mogło: albo przez zalew polityczny despotyzmem Rossii, — albo przez wewnętrzną, jednoczesną, jednodążną rewolucią tych ludów. Pierwszy sposób byłby podobny: niech tylko Polska zechce tego, niech tylko wyzwoli ze zgryzoty i trwogi serc Mikołaja, niech podeptawszy sumienie i historią, jak jedna z ukochanych córek jego przytuli upokorzoną głowę do piersi rodzicielskiéj, a nazajutrz Panslawizm zapanuje. Drugi sposób, wstyd o nim i mówić. Wszystkie ludy krwi Słowiańskiéj, są w niewoli politycznéj, milion wojska stoi na czatach. Ludy te są bez broni, bez oświecenia u siebie, bez porozumienia się ze sobą, a co największa, ludy te, — mówię ludy, — nie myślą wcale o Słowiańszczyznie. Polska przed innemi, takiéj Słowianszczyzny czy jednym czy drugim sposobem rojonej, nie chce, i myśl o niej ze zgrozą odpycha. Nad wszelkie szczęśliwości rojonej Słowiańszczyzny, Polska woli swoją dzisiejszą niewolę, z jej niebezpieczeństwami, z jej boleściami, lecz z jej nadziejami także, ze świętością sprawy, z sumieniem narodowem, które są rękojmią odrodzenia,

Co do 2°. Jeśliby Słowiańszczyzna miała znaczyć miłość, sympatią, wzajemne wspieranie się narodów krwi Słowiańskiej, takie wyobrażenie Słowiańszczyzny byłoby dobre, gdyby nie było za ciasne, gdyby nie gasło przed wyższem i objętniejszem wyobrażeniem Chrześciaństwa. Lecz gdy najpierwsze prawo Religii Chrześciańskiej, nie znalazło dotąd, dla złości ludzkich, prawomocnej formy między narodami, bezsilne są sympatie wszelkie, a tem bardziej pokrewne. Krwi Polskiej więcej przelała szabla Słowiańska niż Turecka. Z drugiej strony, jeśli pomoc nam zewnętrzna pożądana, to równie nam dobra, a daleko podobniejsza i skuteczniejsza byłaby mówiąc staroświeckim językiem, Germanów, Celtów, Hunnów, a nawet Muzułmanów, bo dzisiejsze z tej krwi narody lepiej sprawę naszą rozumieją, więcej spółczucia dla nas mają, a co ważniejsza: są oświecone, niepodległe i silne. Uchowaj Boże, abyśmy przez to mieli pomiatać lub gardzić plemionami Słowiańskiemi. — Kochajmy się, niech będzie hasłem naszém; ale mogąż one mieć nam za złe, możemyż to sami przed sobą taić, że pewniejsza nam pomoc od potężnych i niepodległych, niż od słabych i uciśnionych. Przyjmujem wdzięczni, jeśli gdzie się objawia przyjaźń Słowianina, ale równie nam miłe słowo Okonuela, serce Stuarta, głos Montalemberta, Watykański dokument Tajnera nawet książka Prusaka wołająca o Polskę.

Co do 3° nakoniec. — Słowiańszczyzna nie może znaczyć żadnej siły moralnej, potęgi umysłowej, życiem praktycznem lub spekulacyjnem, polityką lub literaturą utworzonej, bo Słowiańszczyzna jednością, ani w społecznym, ani w naukowym względzie, nie była. Jest Ojczyzna Serbska, Czeska, Polska, Rossyjska, — Słowiańskiej nie ma; — cóż mówić o prawie, o języku, o obyczajach, o historii? Kto z tych różnorodnych części silił się utworzyć jakąś plemienną całość i jedność, trud był nadaremny, dzieło rozsypywało się pod palcami artysty, bo było bez duszy. Cóż mówić o przechwałkach geniuszu Słowiańskiego, o jego osobliwości? My wyznajem że osobliwego nic nie widzim. Cała różnica w tem jest, że plemiona krwi Słowiańskiéj, są jeszcze niedojrzałą społecznością, najpóźniejszymi uczniami cywilizacyi i literatury starożytnéj. Mają cnoty i przywary i nadzieje młodości, i w tem cała różnica owego geniuszu Słowiańskiego.

Gdy więc ani w historii, ani w przyszłości, nie możemy czysto pojąć, co może znaczyć Słowiańszczyzna; — gdy jedynie olbrzymia liczba 70 milionów Słowian draźni imaginacią, a żadnej z niej jedności wywieść nie możem, i nie chcem, żadnej potęgi moralnéj, wyroić nie potrafim, — nie godzi się tedy, aby umysł Polski zaprzątał się filozoficznym kamieniem Sławiańszczyzny, a odrywał się od Polszczyzny.

Polska potrzebuje wyłącznej i zazdrośnéj miłości, — potrzebuje całej energii umysłowej, całej jasności rozumu w synach swoich, dla ocalenia swego. Nie wypuszczajmy jej ani na chwilę z myśli i serc naszych, aby chwytać złudzenia. Tej prostej i zrozumiałej powinności, nawet bajka o psie przez rzekę płynącym, nauczyć nas może. —

Zgubą naszą, chorobą naszą jest niejedność umysłów. Nabudowaliśmy się już dosyć, i sami, wieży Babilońskiej. Czyżbyśmy się to lepiej zrozumieli, lepiej zjednoczyli, wmieszawszy się między miliony nowych mularzy, a pewnie od nas nielepszych?

Wołamy o narodowość, skarżym się na cudzoziemszczyznę, wyrzucamy sobie złudzenia dyplomatyczne, a cudzoziemszczyzną i dyplomacią Słowiańską, chcielibyśmy się łatać!

My jesteśmy tylko Polakami — i jesteśmy ludźmi. Słowianami już nie jesteśmy. Ze Słowiańszczyzną rozstaliśmy się, skorośmy się w jedno osobne państwo wcielili i z inny-

mi Słowianami wojować poczęli. Lud Polski zapomniał, i nie wie, że pochodzi ze krwi Słowian. Polska, nazwisko to, jest jak szaniec głęboki który odgradza twierdzę od szturmu nieprzyjaciół. To nazwisko, znane jest Historii i Światu. Polska była znakomitem Państwem Europejskiém. Wszystkie znakomitsze jej państwa w solennych traktatach opisywały jéj obszerne granice. Gdyśmy po nieszczęśliwéj, ale świetnéj wojnie, szukali w Europie przytułku, otworem stawały dla nas wszystkie kraje, i wszystkie serca ludzkie, dla tego; żeśmy przybywali z wysoko bijącem sercem Polskiem; bo zasługi Polski, były zasługą ludzkości. Nie nazywaliśmy się Słowianami: Mazur, Litwin, Ukrainiec, szedł przez Europę, z wyniosłem czołem, znajdował spółczucie i przytułek w imie tego znanego, historycznego, czarownego imienia: Polak.

Upadliśmy. — Sami przeznajem że dla win naszych. Do odrodzenia się potrzebujem oświecać się i poprawiać. Zaczęliśmy już tę wielką robotę jeszcze przed upadkiem życia politycznego. Szkoła ta i teraz nam otwarta. Oświecenie umysłu, podniesienie ducha, uzacnienie serca, to z łaski Boskiéj, nasze dawne szlacheckie powołanie, w niem nasze zbawienie. Co w tej duchowéj, żywotnéj sprawie słowiańszczyzna nam pomoże? — Nic. — Równie jak nic w sprawie siły. — Państwo nawet realne i potężne, duchem swoim bezdusznego nie natchnie. — My tego nie potrzebujem. Bez chełpliwości możem przyznać sobie, że Oświeceniem, Rycerstwem, Literaturą, Patriotyzmem, Historią, — a zatem Duchem, — wszystkie inne pobratymcze plemiona przechodzim; więc u Słowiańszczyzny żebrać natchnienia nie potrzebujem.

Słowiańszczyzna, wtenczas tylko ma jasne i osobne znaczenie, gdy przez nią będziem rozumieć Starożytności Słowiańskie, przed uformowaniem się z niéj państw historycznych. Zacny to przedmiot dla Erudycii, ale dla polityki, żaden. Szacowna to zaiste rodowa mumia, państwa śmierci, ale nie źródło życia. Niech uczeni examinują jej obwijki, wyczytują hieroglify, ale naprózno spodziewaliby się tchnienia u trupa. Kiedy Radziwiłł z peregrynacii do ziemi Świętéj, wracał morzem do domu, miał z sobą mumią Egipską. Zerwała się burza. Czeladź okrętowa przypisywała ją mumii, i Radziwił z żalem wrzucił ją do morza. Jeśliby w peregrynacii naszej do Ojczyzny, mumia słowiańska, miała mącić i burzyć nam umysły, wyrzućmy ją Polacy, bez żalu, ze skołatanej łodzi losów naszych.

(PARYŻ 1836 r. — z Manuskryptu)

Przyznać wypada że tak stanowczo bodaj kto potępił myśl słowiańską — argumenta atoli są błędne, słabe i nieuzasadnione. Wyraźnie widać, że autor ma tu na myśli Moskwę. Jestto okrzyk grozy i rozpaczy, ale najniesłuszniéj wymierzony przeciw biednym Słowianom i przeciw myśli jedności słowiańskiéj.

W przyszłym numerze „Lecha“ podamy kilka uwag o artykule Sienkiewicza.

FRANCISZEK MIKLOSIĆ.



Franciszek Miklosić.

Do najznakomitszych filologów słowiańskich należy Miklosić, którego znakomite prace wywarły także wpływ na badania gramatyczne o języku polskim. Słuszna tedy, aby tak znakomity uczony słowiański był i u nas znany i ceniony.

Nazwisko jego różnie piszą i tak podług węgierskiéj pisowni, używanéj w jego kraju rodzinnym, pisze się Miklosich, inni piszą Mikloszycz (np. Popłoński w Tygodniku Illustrowanym), właściwie zaś powinno się pisać Miklosić.

Urodził on się 20 Listopada 1813 r. w Styryi we wsi Radmiesztaku niedaleko miasta Ludbriega w okręgu maryborskim. Jest on z rodu Słoweńcem. Naród słoweński mało u nas znany. Jestto odłam Słowian południowych, znanych także pod nazwą Korutanów. Zamieszkują oni głownie Karyntyą, Styryą i illirskie Pomorze niedaleko miasta Tryestu. Szafarzyk naliczył ich 1842 r. 1,151,000, dziś najwyżéj na $1^1/_2$ miliona dusz liczyć ich można. Posiadają własną literaturę, choć ich tak mało.

Otóż Miklosić jest z pochodzenia Słoweńcem. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych w Maryborze, udał sią na uniwersytet w mieście Gracu (Grätz, Gradec), gdzie pozyskał stopień doktora filozofii, a następnie w Wiedniu 1838 udzielono mu stopień doktora prawa.

Tu zaznajomiwszy się z swym rodakiem Kopitarem, sławnym filologiem słowiańskim, oddał się stanowczo studyom porównawczym filologicznym, szczególnie zaś słowiańskim. Dwie znakomite prace zjednały mu sławę po wszystkie czasy:

tj. *„Vergleichende Grammatik der slavischen Sprache“* i *„Lexicon Palaeoslovenicum Graeco-Latinum.“*

Nikt podobno nie zajmował się tyle językiem starosłowiańskim, ile Miklosić i on też przyczynił się głównie do wyjednania mu należytéj powagi. Język ten, zwany także cerkiewnym, cyrylskim, starobulgarskim, illirskim, a od Miklosića staro-słoweńskim, chociaż nie jest matką dzisiejszych narzeczy słowiańskich, jednakże posiada wielkie znaczenie dla całéj Słowiańszczyzny, a szczególnie dla języków słowiańskich. Narzecze to odznacza się szczególnie bogactwem form i dźwięków, tak że co w różnych narzeczach słowiańskich znajdujejemy tylko w kusych ułamkach, jakoby ocalone rozbitki z powodzi, tu jeszcze zachowało się wszystko w pierwotnéj krasie i całości i tak np. głoski nosowe *„ą — ę“* tylko narzecza cerkiewne i polskie zawierają. Niezwykłego znaczenia jest język starosłowiański jako język święty, używany od IX wieku aż po dziś dzień w służbach Bożych u Słowian greckiego obrządku. W pierwszych czasach używali go nawet Słowianie zachodni w kościele, szczególnie Morawianie i Czesi, a nawet Polacy. Pismo Ś. zostało przez Apostołów Słowiańskich śś. Cyryla i Metodyusza na język cerkiewny przełożone. Jestto tedy pradawny język, który sięga najstarszych czasów Słowiańszczyzny, język święty, który zapewne, choć dziś już należy do języków umarłych, ma jeszcze wielką przyszłość przed sobą. Otóż temu narzeczu kościelno-słowiańskiemu Miklosić poświęcił, rzéc można, niejako całe swoje życie. On też położył niesłychane zasługi dla jego rozwoju.

W Gramatyce Porównawczéj wziął autor za punkt wyjścia ów język starosłowiański, a prócz tego przechodzi tu naukę o brzmieniach i formach gramatycznych, etymologią i składnię w narzeczach: bulgarskiém, serbskiém, słoweńskiem, rusińskiém, rosyjskiém, czeskiém, polskiém, górno- i dolnołużyckiém. Dokonał tu badacz olbrzymiéj pracy. Wyniki téż jego badań, wnioski, podziały i wzory przyjął Antoni Małecki i rozwinął w swojéj Gramatyce Polskiéj. Ta tedy Gramatyka porównacza Miklosića, stanowiąca epokę w filologii słowiańskiéj, jest niejako węgielnym kamieniem językoznawstwa słowiańskiego i dlatego każdy badacz, pragnący poznać dokładniéj jakiekolwiek narzecze słowiańskie, zniewolony jest użyć pomocy tego dzieła.

Oprócz tego wydał mąż ten cały legion różnych prac gramatycznych, które mniéj budzą interesu dla szerszéj publiczności. Wspomnieć jednakże wypada o jego poprawném wydaniu ważnéj i dla dziejów Polski kroniki Nestora.

Dodać w końcu należy, że 1848 r. został mianowany profesorem języka starosłowiańskiego przy uniwersytecie wiedeńskim, a 1862 ofiarowano mu katedrę filologii porównawczéj w Szkole Głównéj Warszawskiéj, którego zaszczytu jednakże nie przyjął.

Miklosić pisał prawie wyłącznie tylko po łacinie i niemiecku. Nie występował nigdy otwarcie i czynnie jako popieracz jedności słowiańskiéj. Ożeniony z Niemką przyjął język niemiecki niejako za swój rodzinny. Mimo to położył wielkie zasługi dla sprawy słowiańskiéj.

Dokładny jego życiorys skreślił Papłoński, należący do szczupłego grona Polaków, zajmujących się wiedzą słowiańską. Z tego życiorysu wyłącznie korzystano w niniejszém króciutkiém wspomnieniu.

Korespondencya dwóch panien.

(*Przyczynek do zaznajomienia się z tegoczesnemi pojęciami o abstrakcyjnych przedmiotach.*)

Tłumaczenie z rosyjskiego Gabryelli Grodnickiéj.

List zaadresowany do Redakcyi pisma.*)

Szanowny Panie!

Każda epoka posiada sobie właściwe pojęcia o różnych abstrakcyjnych przedmiotach, jako to: honor, obowiązek, moralność i t. p., bez znajomości tych pojęć nie można sprawiedliwie oceniać danéj epoki.

Literatura nadobna do téj charakterystyki epok dostarcza nam materyałów, są one jednak mniéj lub więcej płodami wyobraźni i obserwacyi. Pragnąc zbiór ten zbogacić trwalszemi i faktyczniejszemi danemi, temi autentycznemi źródłami, z których czerpiąc, prawdziwy historyk może z wszelką pewnością snuć wywody: — trudnię się *zbieraniem materyałów ułatwiających poznanienie tegoczesnych pojęć o abstrakcyjnych przedmiotach.* Dołączona tu korespondencya stanowi próbkę zebranego przezemnie materyału. Przesyłając ją Waszemu pismu, pozwalam sobie zwrócić się z prośbą do czytelników, by, w razie, gdyby kto z nich chciał przyjść mi w pomoc udzielaniem materyałów do zbioru, który zamierzam ułożyć, niechaj takowe nadeśle, jeśli pozwolicie, za pośrednictwem Waszego pisma. Przysługę tę przyjąłbym z wdzięcznością, zważywszy że zadanie moje niełatwe a może i niewykonalne bez sympatyi i współudziału publiczności.

Proszę przyjąć zapewnienie etc.

M. Awdiejew.

I.

Zizi do Dodo.

Moskwa 9. 10. 187* r.

Pomimo, że zaledwie upłynęło pięć dni od czasu, jak Cię, najmilsza moja Dodo, odprowadziłam na Nikołajewską stacyę — powtrzymać się nie mogę od rozpoczęcia naszéj umówionéj korespondencyi. Nie uwierzysz jak nieznośnie długo wloką mi się te nudne, jesienne dnie, jak mi wszędzie brak ciebie, choć tak zawsze obojętnie przyjmowałaś moje pieszczoty, moję miłość i otwartość, moje „serce na dłoni“ comme on dit. Ale ja wiem, że mimo chłodnéj powierzchowności, nie jesteś bez czucia i lubisz troszeczkę twoję ekspansywną, ubóstwiającą cię Zizię... Choć z powagą tak pięknie twoim czarującym, klasycznie regularnym, comme on dit, rysom — i ty wiesz o tém dobrze — widzę jednak ztąd, jak się rozsuwają twoje śliczne brewki i jak z uśmiechem, nieco lekceważącym słuchasz szczebiotania twéj „tłuścioszki“ jak mnie nazywasz swoim realnym petersburskim językiem.

Ach duszko, jakże jeszcze nudno w Moskwie! W teatrach grają tam coś, ale to także nic nie znaczące bezbarwne, wieczory się nie zaczęły; całą moją rozrywką to, żem była dziś z mamą na mszy. Z jakim ja też żalem wspominam te kilka czarownych dni, które spędziłam z tobą u wuja Jana i jaką szczęśliwą myśl powzięła mama i ciocia, żeby się

*) Atieczestwiennyja Zapiski.

w Berezowsku zjechać! Zapewne Berezowsk już nie ten, co był w owych dobrych dawnych czasach, które my z tobą ledwo pamiętamy; ale zawsze jeszcze wuj Jan taki prawdziwy rosyjski szlachcic, że, patrząc na niego, trudno nie wierzyć jego słowom: „do nas się jeszcze wrócą!“

Nikt w naszym domu dotąd nie bywa, prócz Konstantyna Siemionycza — pamiętasz, pokazywałam ci go — 50 letniego, jeszcze rumianiutkiego i eleganckiego wielbiciela mamy, który pozostał jéj wiernym i, jak dawniej, codziennie nas nawiedza. Zresztą, nie dziwię mu się wcale; maman tak dobrze wygląda na swoje lata i zawsze jeszcze belle femme — czegóż mu więcéj trzeba? A propos: Byłam w tych dniach mimowolnym świadkiem zabawnéj rodzinnéj scenki, która jednak wyjaśniła mi niektóre wątpliwości. Jako przyjaciółce, opiszę ci ją. — Ziębnąwszy na przechadzce, wsunęłam się z książką w ręku w róg kanapy — saloniku; mama siedziała obok w swoim pokoju. Przyszedł papa — i prawdopodobnie oboje mnie nie widzieli. Z początku rozmowa tyczyła się pieniędzy i mama wyrzucała papie, że tak dużo wydał w naszéj nieobecności.

— A wszystko to na te twoje Alfonsyny i Berty, za któremiś się codziennie włóczył. Myślisz, że nie wiem! mówiła mamau.

— Ma chère, odrzekł papa z najzimniejszą krwią, należy każdemu zostawić jego drobne przyjemnostki. Konstantyn Siemionycz sprawia ci przyjemność codziennego odwiedzania przez lat 20 z rzędu, a ja ci wymówek nie robię!

— Bo też cały wydatek na niego ogranicza się jedném więcéj nakryciem u stołu, odparła maman, a i ten jeszcze zwraca się sowicie, jeśli policzymy jego bezustanne usługi, jako przyjaciela domu i ciągłe podarki dzieciom.

— Które bardzo kocha, wtrącił ironicznie papa. —

— Tak, jak swoje! ostro odparła maman, choć dość spojrzeć, kto jest ich ojcem!

I rzeczywiście, my wszyscy, niestety mamy za papą cebulowate nosy, podczas gdy Konstantyn Siemionycz ma nos piękny, grecki.

— No, prawda — nosy mają po mnie, musiał przyznać papa — i maman na nowo poruszyła kwestyę finansową.

Wówczas, cichuteńko się wyniosłam, by się nie odkryło, żem rozmowę słyszała, bo chociaż zawsze dzieci wiedzą wszystko o rodzicach, jednak jest w zwyczaju nie wydawać się z tém — a dla mnie każda tradycya jest świętością. Jednakże przyznaj, duszyczko, że dzieciom przyjemnie widzieć, że ich rodzice okazują się przyzwoitymi ludźmi w sporze o tak delikatnéj kwestyi. Tak, moja miła, my w Moskwie śmieci po za dom nie wynosimy i przekonywać się nie lubim, stąd też domowe ognisko nasze zostaje nienaruszoném. W ogóle, przyznaj się, aniele, że jako prawdziwa Petersburszczanka źle oceniasz Moskwę! Ale ja uwielbiam moję drogą Moskwę — i cobądź wy, Petersburszczycy na nią powiecie, ona zawsze dla mnie zostanie dobrą, prawdziwie rosyjską Moskwą, kapłanką, strzegącą cnót domowych — i rodzinnego, comme on dit, ideału. A propos: szukam wszędzie mojego ideału — i nadaremnie. Był tu wprawdzie jeden, trochę niepozorny — ale i tego obecnie ani śladu. Brat Jaś mówi, że jeszcze niezawodnie na wsi używa pory polowania. Przy obiedzie — bo u nas karmią młodzież, nie tak jak wy, co ich przyciągacie głodem — nie ma nikogo, prócz Konstantyna Siemionycza. Ale wy możecie głodzić waszą młodzież, wy nie wiecie co począć z nią — u was całe pułki, całe ministerstwa młodzieży — a u nas nikt! Jak to jednak niesprawiedliwie! Przecież Moskwa także jest stolicą! Czemuż tutaj nie stoi choć kilka szwadronów, czemu nie ma z paru ministeryalnych kancelaryi? a tu nikogo, jak okiem zasięgnąć — pustki i pustki! To nie do zniesienia! płaczę ze złości i nie mogę kończyć listu! pociesz mnie, moja śliczna, odpisuj prędzéj: a nie mogłabyś téż przysłać tu choć z paru chłopców?

Twoja na zawsze
Zizi.

P. S. Kochanéj cioci Annie Dmitrjewnie i szanownemu wujkowi Stefanowi Piotrowiczowi, oświadcz moje najgłębsze poważanie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIEŚŃ
o Świętym
Antonim Łagiewnickim.

Witay Antoni Mieyscá Łagiewskiego,
Cudo Pátronie Królestwá Polskiego,
Obywátelu kraiu Łęczyckiego,
Powszechny Oycże ty świátá wszytkiego.

Ná wielu mieyscách oraz obecnego,
Rożni ćię widzą, tego nie innego:
Tu słowo Boże iednym opowiádasz,
Drugich od śmierći okrutney wybáwiasz.

Lęka się ćiebie sámo przyrodzenie,
Gdyć iest posłuszne y sámo stworzenie:
Zguby znayduiesz, leczysz y choroby,
Umárłych wskrzeszasz świádczą sáme groby.

Martwym ięzykiem twe wynoszą dźiełá,
Ktore sprawuie Boska w tobie śiłá,
Żeláźne pętá meżnie rozwięzuiesz,
Młodych y stárych leczysz y rátujesz.

Prágnęłá Polska twojey obecżności,
Przez długie czásy życząc gotowośći
Mieyscá tákiego gdźieby wiekowáłá
Sławá twych cudow y tám zostawáłá.

Oddáláć gorę mieyscá Łagiewskiego,
Boś ták roskazał przez Cieślę Jerzego
Abyć Káplicę Zeleski zbudował,
A Fránćiszkanow przy nieyże fundował.

Dźiedźic wykonał rozkazánie twoie
Zá toś mu oddał żywych dźiatek dwoie,
Moc bowiem Boska przez ćię dokazáłá,
Że Syn wskrzeszony à Corkà przeyrzáłá.

Nà táką Sławę wiele skáleczonych,
Slepych, ułomnych, od czártá strapionych,
Przychodzą mnostwá pośiechy odnoszą,
O dálsze łáski przez ćię Bogá proszą.

Wieleś w śmiertelnym ciele dokàzował
Gdyś wiele zmàrłych y żywych ràtował;
Ożyw to mieysce z Bogiem kroluiący,
Po wszytkę wieczność nie umieràiący.

Już w pięknym Bràci stánąłeś twych gronie,
Nà to żebyś był Polsce ku obronie;
Brońże nas Oycze, broń Swięty Pátronie
Broń nagłey śmierci wielki opiekunie.

Zá co my Bogá w tobie cudownego,
Wielbić będźiemy, á ciebie sámego
Czćić powinniśmy iáko opiekuna,
Obywátelá, oraz y Pátroná.

Antiphona.

Swięty Antoni kochánku Boży, kto się ciebie we wszem dołoży, będźie też z nim Syn Boży, ty iesteś sławny w każdey stronie, chowayże nas w swoiey obronie, nasz święty Pátronie.

Uwaga. Łagiewniki, wieś w dzisiejszéj gubernii piotrkowskiéj, powiecie łódzkim, słynie kościołem i znajdującym się tu cudownym obrazem ś. Antoniego. Pieśń ta pochodzi zapewne z XVII wieku. Drukowana bez miejsca druku i roku. Zatrzymujemy dawną pisownię. Godziło się zaiste uratować ten zabytek od zagłady.

Wiadomości Literackie.

Kraszewski we Włoszech. Sprawa polska znajduje uznanie w narodzie włoskim. Muzeum Kopernikowe założone w Rzymie, staraniem Artura Wołyńskiego, doznaje opieki rządu włoskiego. Niedawno założono w Bolonii akademią Mickiewicza, zakład naukowy mający na celu szerzenie między Włochami znajomości spraw polskich i słowiańskich. Niedawno znowu król włoski Humbert uznał w zaszczytny sposób zasługi Kraszewskiego, o czem pisze jak następuje Gazeta Warszawska: „Nie tylko rodacy biorą w zawody udział w literackim jubileuszu naszego nieocenionego Kraszewskiego ale i cudzoziemcy, u których olbrzymia praca wielkiego polskiego pisarza coraz większe jedna mu uznanie i sławę, chętnie przyczyniają się do uczczenia téj jednéj z najwybitniejszych pisarskich postaci XIX wieku. Oto właśnie król Humbert dowiedziawszy się, że kraj nasz cały obchodzi jubileusz jego, i sam przeczytawszy niektóre przekłady jego dzieł, a świeżo przejrzawszy z osobliwem zajęciem i zdumieniem spis ogólny jego pism podany Jego Król. Mości podług Estreichera i poznańskiego pisemka *Lech,* w tych dniach podpisał dekret mianujący J. I. Kraszewskiego wielkim oficerem orderu korony włoskiéj. Jak wiadomo, autor „Poety i świata“ ozdobiony już był komandorją tegoż orderu. Stopień zaś wielkiego oficera nader rzadko prywatnym dawany bywa. Otrzymują go zwykle tylko ministrowie stanu, jenerałowie naczelnie dowodzący, ambasadorowie obcych mocarstw itd. Król rozkazał p. Correntemu, wielkiemu kanclerzowi orderów włoskich, przesłać pisarzowi naszemu dyplom, wstęgę i gwiazdę korony włoskiéj, które to oznaki zwykle się nie posyłają przy nominacji, i rozkazał dodać do nich list w królewskiem swojem imieniu pełny pochwał i współczucia, który wielki kanclerz własnoręcznie wystosuje. Dokumenta te i godła wysokiego dostojeństwa odejdą w tych dniach do Drezna.“

Telefon „Lecha.“

Autórce wierszyka: „Polska Dziewica“ w Gryfii. Wiersz wytrzymał krytykę i może być w Lechu umieszczony, atoli ustęp:

„Znana dziewica — bohater
Pustowojtówna, Emilia Plater“

koniecznie trzeba zmienić. Nie podobno stawiać na równi Pustowojtowny z Wandą i Emilią Plater.

Lach — Szyrma w Angli. Odebraliśmy fotografię i Pamiętniki zacnego Rodzica Pańskiego. Czasu swego umieścimy w „Lechu“ portret i życiorys zasłużonego śp. Krystyna. Zaiste Mąż ten zasłużył sobie, aby życie jego i czyny znane były dokładnie polskiéj publiczności.

Do Ostrowa i innym nadsyłającym wierszyki i ulotne artykuły. Krótszych rękopisów żadną miarą zwracać nie można. Tylko dłuższe artykuły odsyłają się w razie niedrukowania. Prosimy się do tego zastósować. Deszcz wierszy wciąż „Lecha“ zalewa, ale mało jest takich, któreby mogły być jego ozdobą.

Pani T. Z. w Ostrowie. Za pamięć i życzliwość dla „Lecha“ serdeczne dzięki. Rys biograficzny Kulika zamieścimy chętnie w naszém piśmie, gdyż poucza nas o kochanych Braciach Rusinach, ale prosimy wprzód o dokończenie.

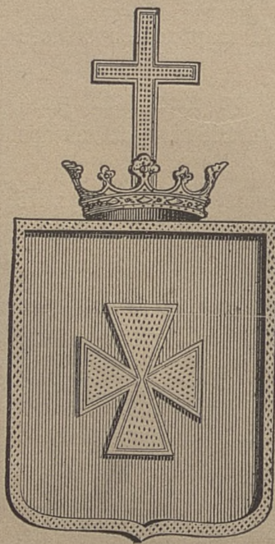
Fran. Mroczko w Belzie. Powiastkę Fed'kowicza: *Nieszczęśliwa Miłość,*“ tłumaczoną z ruskiego odebraliśmy. Śliczna, ale przytem smutna, jak dola ludu ukraińskiego. Już to smutek wciąż udziałem nas biednych Słowian. Życiorys Fed'kowicza także umieścimy, atoli powiastka Opryszek niestósowna dla „Lecha.“ Polecamy się nadal łaskawéj pamięci.

Kilku zwolennikom jedności słowiańskiéj. O wiecu słowiańskim a mianowicie gdzieby się mógł odbyć, będzie później. Najstósowniejszém miejscem byłby oczywiście Poznań, atoli do tego pewnie nie przyjdzie. Mamy już inną bardzo stósowną miejscowość na oku, ale o tem potem.

Z. Zdaje mi się, że możnaby najlepiéj zastósować następny wiersz Mickiewicza:

„Jakakolwiek przeszkoda tutaj was rozdwoi:
Idą ku sobie gwiazdy; choć je mgły zaciemią,
Mgła zniknie, gwiazda z gwiazdą na wieki się spoi.
Łańcuchy tu wiążące prysną razem z ziemią,
A tam, nad ziemią, znowu poznają się swoi,
I namiętność, choć zbytnią, Pan Bóg wam przebaczy.“

Herb Starogardu.



Starogard jest dziś miasto powiatowe Prus Zachodnich, leżące w obwodzie rejencyjnym Gdańskim, a w dawniejszém Województwie Pomorskiém. Położone nad rzeką Wierzycą, a nie *Fersą,* choć nawet tacy jeografowie jak Lelewel, Baliński i Lipiński tak piszą. R. 1465 zdobyli Polacy Starogard na Krzyżakach, odtąd też należało zawsz do Polski.

Powiat starogardzki należy do najwięcéj polskich w Prusiech Zachodnich, choć ostatniemi czasy niemczyzna mocno się szerzy, a mianowicie nikną większi polscy posiedziciele.

Niedaleko leży wieś Pelplin, obecnie stolica biskupa chełmińskiego, sławny pięknym kościołem po Cystersach

O herbie Starogardu nie umiemy podać bliższéj wiedomości. Krzyże oznaczają może kościelny początek.

Winniśmy także sprostować, że miasto to zowie się Starogard a nie Starygród, choć ta ostatnia nazwa więcéj słowiańska. Starygród jest inna miejscowość, leżąca pod Chełmnem.

„Lech“ wychodzi co sobotę w Poznaniu. Przedpłata ćwierćroczna wynosi na pocztach 2 marki, roczna wprost w redakcyi 8 marek, dla Austryi 5 złr.. dla Ameryki 3 dolary. W Poznaniu dla tych, co sami w ekspedycyi (ul. Wodna nr. 15) odbierają, ćwierćrocznie 1 m. 50 fen. Listy dochodzą pod adr. *Lech Poznań.*

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.